



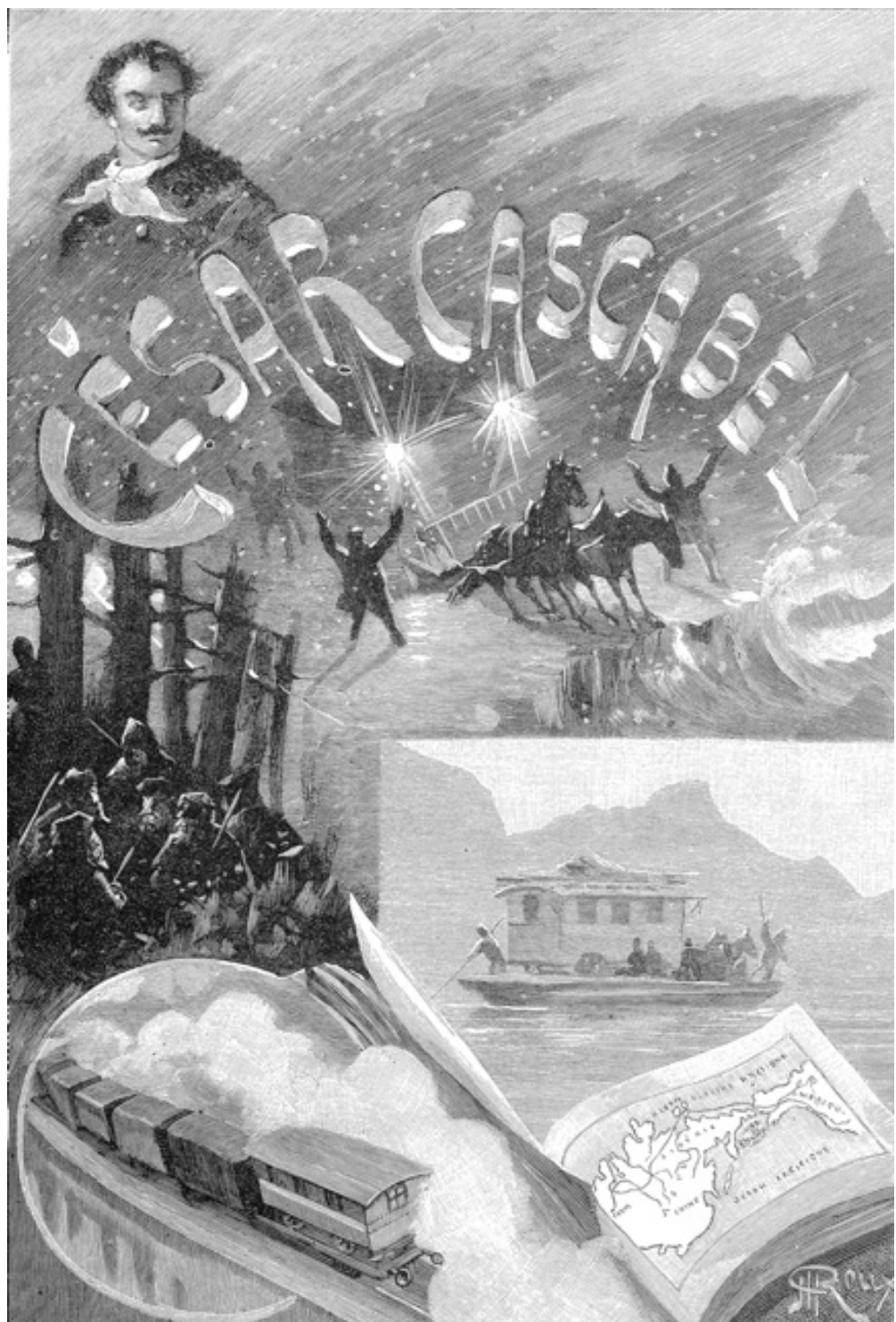
Juliusz Verne Cesar Cascabel

(Część druga)



ISBN 978-83-64701-21-4 (całość)

ISBN 978-83-64701-23-8 (cz. 2)



Juliusz Verne



CESAR CASCABEL

Część druga

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

Dwunasta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuł oryginału francuskiego: *César Cascabel*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2014

87 ilustracji, w tym 10 kolorowych i 2 mapki: George Roux
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Skład: Andrzej Zydorczak

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

**Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a**

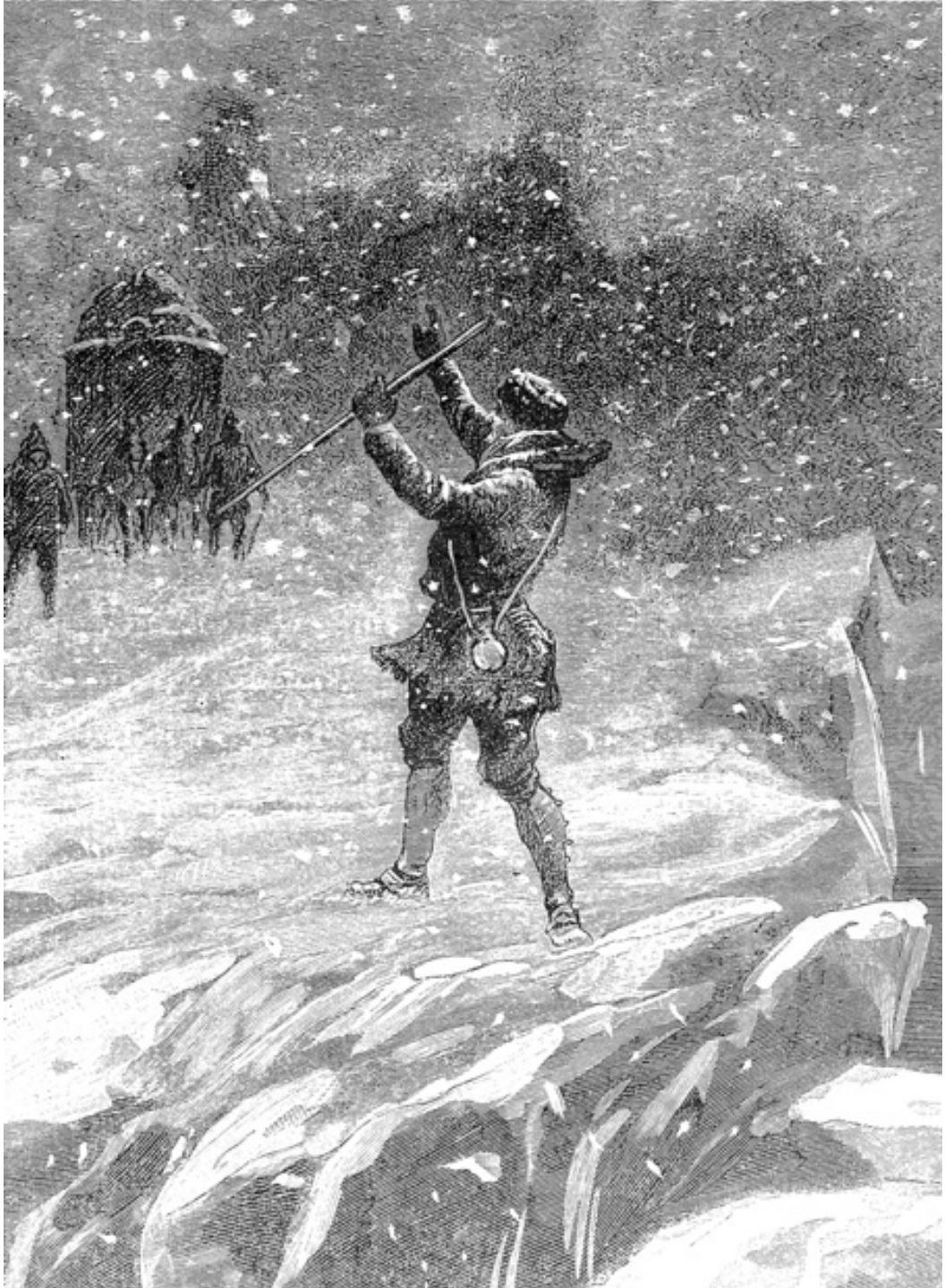
Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2014

ISBN 978-83-64701-20-7 (całość)
ISBN 978-83-64701-23-8 (część druga)

CZEŚĆ DRUGA



Rozdział I

Cieśnina Beringa

Cieśnina Beringa, przez którą Morze Beringa łączy się z Oceanem Arktycznym, tworzy dość wąską przezwę pomiędzy stałymi lądami. Przypomina ona nieco Cieśninę Kaletańską pomiędzy kanałem La Manche a Morzem Północnym; ma ten sam kierunek, lecz jest trzy razy szersza. Podczas gdy odległość pomiędzy przylądkiem Gris-Nez na wybrzeżu francuskim a South Foreland po stronie angielskiej wynosi około siedmiu mil¹, to Port Clarence od Nuyamo dzieli dwadzieścia mil.

Dlatego też „Prawdziwy Włóczęga” opuściwszy ostatnie miejsce pobytu w Ameryce, skierował się ku portowi Nuyamo, jako najbliższemu punktowi na wybrzeżu azjatyckim.

Rozumie się, że gdyby Cesar Cascabel wybrał marszrutę na skos przez Morze Beringa, to mógłby się poruszać po równoleżniku położonym znacznie poniżej koła podbiegunowego. W tym przypadku skierowałby się na południowy zachód, zdążając w stronę Wyspy Świętego Wawrzyńca – wyspie dość znacznej, zamieszkałej przez liczne plemiona Eskimosów, niemniej gościnne niż krajowcy z Port Clarence. Znalazłszy się w Zatoce Anadyrskiej, gromadka podróżnych dotarłaby do przylądka Navarin, by stamtąd jechać już przez obszar południowej Syberii. Wydłużyłoby to jednak trasę, którą należałoby pokonać po morzu, a raczej po powierzchni *ice field*, a tym samym podróżnicy byłiby dłużej narażeni na niebezpieczeństwa, jakie można napotkać na polu lodowym. Tymczasem rodzina Cascabelów zamierzała dostać się jak najszybciej na stały ląd i dlatego nie zmieniano nic w założeniach pierwotnego planu, polegającego na podążaniu w kierunku Nuyamo z zatrzymaniem się na wyspie Diomeda, usytuowanej pośrodku cieśniny, spoczywającej na tak solidnej skalnej podstawie, jakby był to punkt kontynentu.

Gdyby pan Sergiej rozporządzał statkiem, na pokład którego można by wziąć małą karawanę wraz z całym dobytkiem, to trasa, w jaką aktualnie ruszono, wyglądałaby zupełnie inaczej. Po opuszczeniu Port Clarence statek pożegłowałby bardziej na południe, w kierunku Wyspy Beringa, na którą licznie przybywają foki i inne ssaki morskie w celu przezimowania. Stamtąd zaś udałby się do jednego z portów Kamczatki, może nawet do Pietropawłowska, stolicy guberni. Nie posiadając jednak statku, trzeba było poszukać najkrótszej drogi, by jak najprędzej stanąć na kontynencie azjatyckim.

Cieśnina Beringa nie jest zbyt głęboka. Wskutek geologicznych ruchów wynoszących, obserwowanych już od epoki lodowcowej, może się nawet zdarzyć w dalekiej przyszłości, że w tym miejscu Azja i Ameryka połączą się w jeden wielki kontynent. Byłby to tak wymarzony przez Cascabela most, lub raczej trakt, którym mogliby jeździć podróżni. Będąc wielce użyteczne dla jednych, byłoby to bardzo szkodliwe dla żeglarzy, a zwłaszcza dla statków wielorybnych, gdyż zamknąłby się dostęp do wód Morza Północnego. Musiałoby się więc zdarzyć, że zjawiłby się jakiś nowy Lesseps² i zaczął przecinać międzymorze³, by doprowadzić ten teren do dawnego stanu. Potomkowie naszych prawników może kiedyś będą musieli pomyśleć o takiej ewentualności.

Sondując cieśninę w różnych jej częściach, hydrografowie stwierdzili, że najgłębszy obszar ciągnie się wzdłuż wybrzeża azjatyckiego, blisko Półwyspu Czukockiego. Przepływa tam zimny prąd przybywający z północy, podczas gdy ciepły prąd przepływa nad płytszym fragmentem cieśniny, rozciągającym się od strony wybrzeża amerykańskiego.

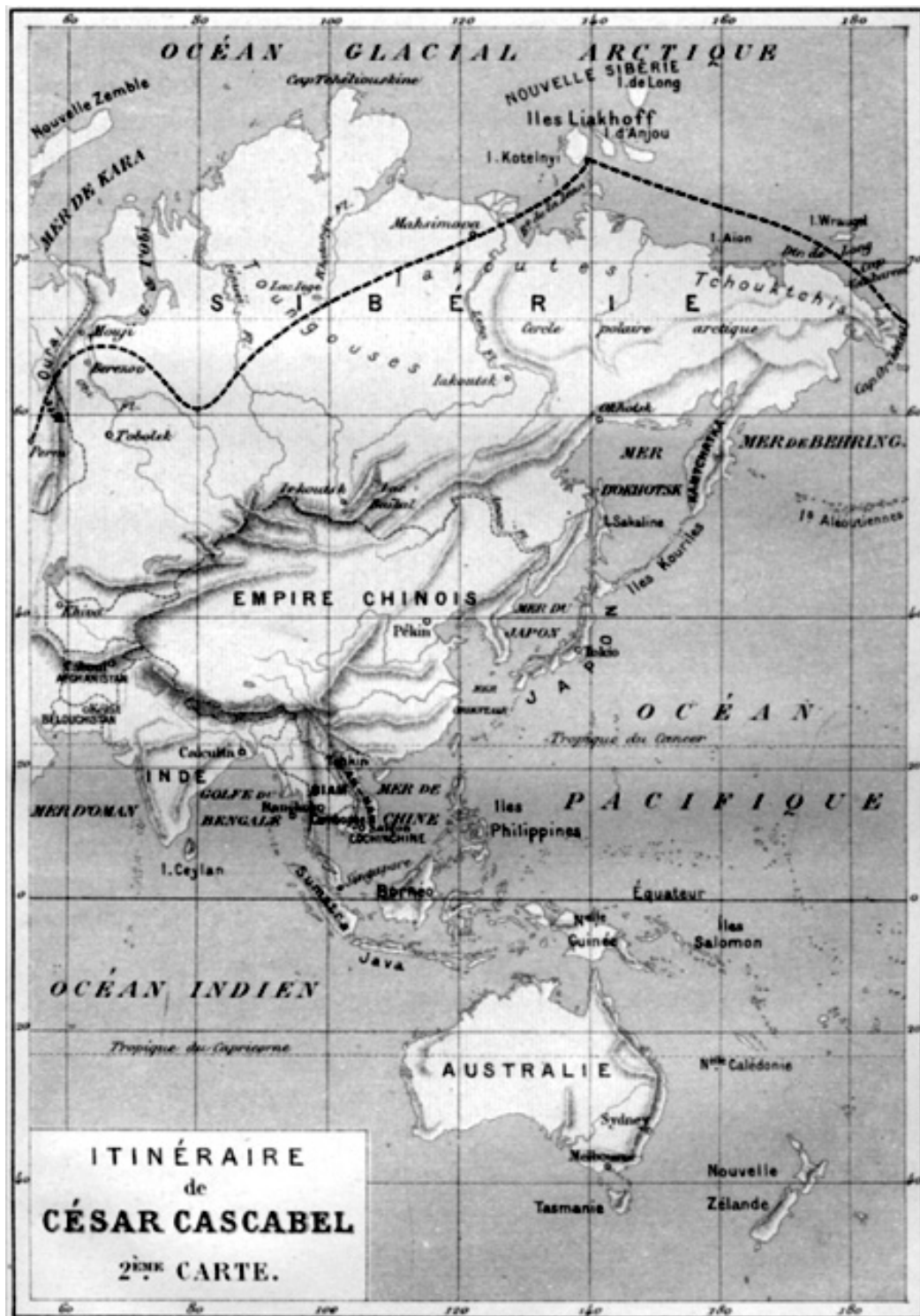
Dwanaście lat później na północ od wymienionego półwyspu, w pobliżu Wyspy Koliuszyna, w zatoce o takiej samej nazwie, „Vega”, statek Nordenskiölda, po odkryciu Przejścia Północno-Wschodniego został zamknięty w lodach na dziewięć miesięcy (od dwudziestego ósmego września 1878 do osiemnastego lipca 1879)⁴.

1 Rzeczywista odległość wynosi 33,2 km, czyli nieco ponad 8 mil francuskich.

2 Ferdinand Marie de Lesseps, wicehrabia (1805-1894) – francuski dyplomata i przemysłowiec; w latach 1859-1869 budował Kanał Sueski, potem rozpoczął budowę Kanału Panamskiego.

3 *Międzymorze* (przesmyk, istm) – wąski pas lądu łączący dwa większe obszary lądowe, oddzielający od siebie dwa morza lub oceany.

4 U Verne'a: od 26 września do 15 lipca.



Tak więc Cascabelowie wyruszyli dwudziestego pierwszego października w dość sprzyjających warunkach, choć panowało przenikliwe zimno, a powietrze było suche. Ustała śnieżna zawieja, wiatr osłabł i skierował się nieco na północ. Niebo przybrało jednolitą szarą barwę. Zza zasłony gęstych mgieł zaledwie można było dostrzec słońce, którego słabe, padające pod kątem promienie osłabione ukośnym kierunkiem nie zdołały przeniknąć nagromadzonych oparów. W południe, kiedy znajdowało się w najwyższym punkcie kulminacji, podniosło się zaledwie jakieś cztery stopnie powyżej południowej linii widnokregu.

Po wyruszeniu z Port Clarence podjęto jednogłośnie bardzo mądre postanowienie: nie będą podróżować w czasie panujących ciemności. Tu i ówdzie w *ice field* znajdowały się szerokie rozpadliny, a że w ciemności nie sposób było ich uniknąć, gdyż po prostu nie można było ich zauważyć, łatwo mogło dojść do jakiejś katastrofy. Postanowiono zatem, że gdy widoczność ograniczy się do stu kroków, „Prawdziwy Włóczęga” będzie się zatrzymywał. Lepiej było poświęcić choćby dwa tygodnie na przebycie owych dwudziestu mil, niż poruszać się po omacku, gdy dzienne światło nie będzie wystarczające.

Śnieg, który padał nieustannie przez dwadzieścia cztery godziny, utworzył dość gruby kobierzec, który skrzystalizował się pod wpływem mrozu. Twarda warstwa ułatwiała poruszanie się po powierzchni lodowego pola. Gdyby śnieg już więcej nie sypał, podróż przez morską cieśninę byłaby łatwiejsza. Tymczasem należało się obawiać, że tam, gdzie zimny prąd spotykał się z ciepłym, każdy płynąc z przeciwnego kierunku, góry lodowe, wytrącone z normalnego dryfu, nie spiętrzą się jedne na drugich. Gdyby tak się stało, droga znacznie by się wydłużyła wskutek licznych objazdów.

Jak już zostało powiedziane, Cornélia, Kayette i Napoléone zajęły miejsca wewnątrz pojazdu. By go odciążyć na tyle, na ile było to możliwe, mężczyźni mieli iść pieszo.

Według przyjętego wcześniej porządku Jean, na którym można było polegać, szedł na przedzie i rozpoznawał stan lodowej powłoki. Był zaopatrzony w busolę, a chociaż prawie niemożliwe było bardzo dokładne wyznaczenie punktów orientacyjnych, z dostateczną precyzją kierował się na zachód.

Na czele zaprzęgu szedł Goździk, zawsze gotowy podtrzymać lub podnieść Vermoutha czy Gladiatora, gdyby któryś się potknął, ale były one odpowiednio podkute i silnie opierały się na nogach. Zresztą droga była tak równa, że nie miały o co się potknąć.

Koło wozu szli i rozmawiali pan Siergiej i Cesar Cascabel, podobnie jak ich towarzysze mocno okutani w futra, z założonymi na oczy drewnianymi okularami.

Jeśli chodzi o małego Sandre'a, to trudno było mu wyznaczyć jedno miejsce lub go na nim utrzymać. Szedł, biegał w tę i z powrotem, podskakiwał jak oba psy, a nawet od czasu do czasu robił sobie przyjemność i zwyczajnie ślizgał się po lodzie. Martwiła go tylko jedna rzecz: ojciec nie pozwolił mu założyć eskimoskich rakiet.

– Na tych łyżwach – twierdził – przeszedłbym cieśninę w kilka godzin.

– Po co by ci to było, skoro nasze konie nie potrafią się ślizgać! – odpowiadał pan Cascabel.

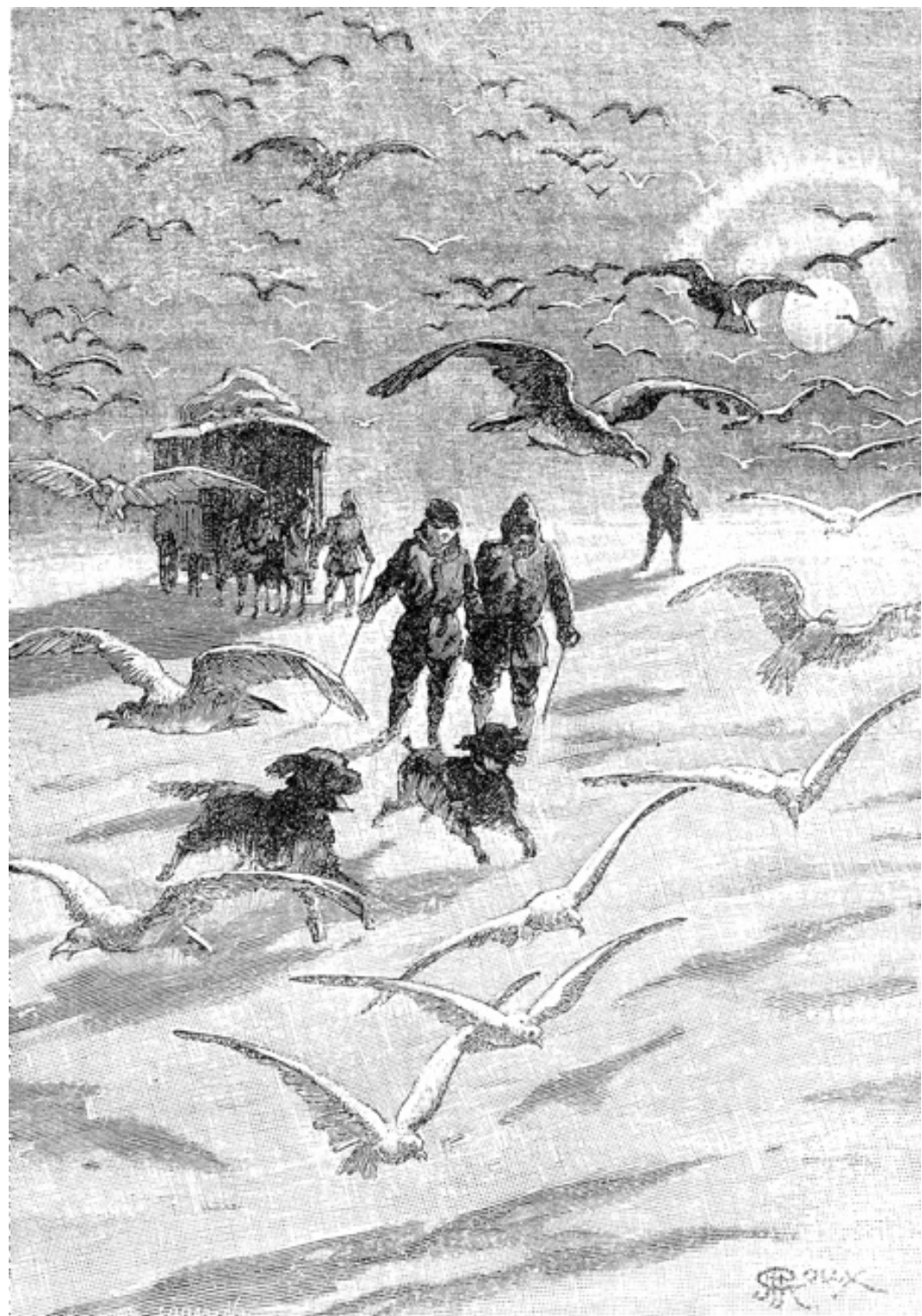
– Kiedyś je tego nauczę! – odparł urwis, robiąc w powietrzu koziołka.

Tymczasem Cornélia, Kayette i Napoléone zajęły się kuchnią i lekki dymek dobywający się z blaszanej rury był zapowiedzią dobrych rzeczy. Chociaż nie cierpiały z powodu zimna, gdyż ich pomieszczenia były szczelnie zamknięte, to przecież należało pomyśleć o tych, którzy byli na zewnątrz. Miały też dla nich ciągle w pogotowiu trochę gorącej herbaty z dodatkiem rosyjskiej „wody życia”, czyli wódki, która już niejednego umarlaka przywróciła do życia!

Konie także miały zapewniony odpowiedni pokarm za sprawą wiązek siana dostarczonych przez Eskimosów z Port Clarence, które musiały wystarczyć na całą przeprawę przez morską cieśninę. Tymczasem Wagram i Marengo z zadowoleniem zajadały się mięsem łośi, które podawano im w dużych ilościach.

Poza tym na polu lodowym także nie brakowało zwierzyny, jak można by sądzić z pozoru. Biegając tędy i owędy, dwa psy płoszyły tysiące ptarmiganów, nurzyków⁵ i innych ptaków właściwych okolicom podbiegunowym. Ptaki te, oskubane należycie i uwolnione od przykrego posmaku oleju, także mogły dostarczać dość znośnego pokarmu. Nie było jednak najmniejszego sensu ich zabijać, gdyż spiżarnia Cornélii była doskonale zaopatrzona. Dlatego postanowiono, że podczas podróży z Port Clarence do Nuyamo strzelby pana Siergieja i Jeana pozostaną w spoczynku.

5 Nurzyk (nurzyk podbiełały, *Uria aalge*) – ptak z rodziny alk; występuje w północnych rejonach Europy, Azji i Ameryki Północnej; zamieszkuje skaliste wybrzeża morskie, w okresie pozalęgowym przebywa na pełnym morzu.



Co do zwierząt ziemnowodnych, czyli fok i innych ssaków morskich, bardzo licznych w tych okolicach, to nie dostrzeżono żadnego w ciągu pierwszego dnia przeprawy.

Chociaż w chwili wyjazdu panowała radosna atmosfera, wkrótce pan Cascabel i jego towarzysze zaczęli odczuwać owo nieokreślone wrażenie smutku, jaki bije z równin bez określonego horyzontu, z tych płaszczyn białych jak okiem sięgnąć.

Około jedenastej nie było już widać najwyższych skał Port Clarence, a nawet wysoki szczyt na Przylądku Księcia Walii zgubił się w jakby rozdartych wiszorem⁶ oparach. Na odległość pół mili nie można było dostrzec żadnego przedmiotu i miało upłynąć dużo czasu, zanim zobaczą wyniosły brzeg Przylądka Wschodniego na Półwyspie Czukockim, a przecież byłby on dla podróżnych wspaniałym punktem orientacyjnym.

Wyspa Diomeda, położona mniej więcej w środku Cieśniny Beringa, nie odznacza się skalistymi wyniosłościami terenu. Jej jednolita masa zaledwie wychyla się ponad poziom morza i mieli ją rozpoznać dopiero w chwili, gdy koła wozu, przedarłszy się przez warstwę śniegu, zazgrzytają na jej skalistej powierzchni. Zresztą Jean, z kompasem w ręku, bez żadnych problemów kierował „Prawdziwym Włóczęgą”, a jeśli nie poruszano się szybko, to przynajmniej bardzo bezpiecznie.

Po drodze pan Siergiej i Cesar Cascabel rozmawiali o aktualnej sytuacji. Przeprawa przez cieśninę, która przed wyjazdem wydawała się rzeczą bardzo prostą, teraz, gdy byli już w drodze, przedstawiała im się jako bardzo niebezpieczna.

– Podjęliśmy się trudnego zadania – rzekł Cascabel.

– Bez wątpienia – odpowiedział pan Siergiej. – Pokonanie Cieśniny Beringa ciężkim wozem nie jest pomysłem, który przyszedłby do głowy pierwszemu lepszemu!

– Wierzę w to, panie Siergieju. Ale cóż pan chce? Kiedy przyjdzie komuś do głowy, by wracać do kraju, to nic nie zdoła go powstrzymać! Ale gdyby chodziło tylko o pokonanie kilkuset mil przez Far West, albo Syberię, to wcale bym się tym nie przejmował. Stąpa się po stałym gruncie i nie trzeba się obawiać, że on usunie się spod nóg...! Jednak przebycie dwudziestu mil po zamrożonym morzu zaprzęgiem, z ładunkiem i wszystkimi innymi rzeczami... Do diabła, chciałbym się już znaleźć po drugiej stronie! Można by wówczas powiedzieć, że za nami pozostała najtrudniejsza, albo przynajmniej najbardziej niebezpieczna część podróży!

– Oczywiście, kochany panie Cascabel, zwłaszcza jeżeli „Prawdziwy Włóczęga”, znalazłszy się po drugiej stronie cieśniny, zdoła szybko dotrzeć na południowe tereny Syberii. Próbę podróży wzdłuż wybrzeży podczas wielkich zimowych mrozów należałoby ocenić jako przedsięwzięcie bardzo nierozsądne. Gdy tylko znajdziemy się w Nuyamo, musimy się skierować na południowy zachód i wyszukać dobre miejsce na przezimowanie w jednej z mieścin, jakie napotkamy po drodze.

– Tak zrobimy! Ale, ale, pan zapewne zna ten kraj, panie Siergieju?

– Znam tylko rejon pomiędzy Jakuckiem a Ochockiem, który przebyłem podczas mej ucieczki. Jeśli chodzi o drogę wiodącą z Europy do Jakucka, zachowałem tylko wspomnienie przerażających trudów, jakich doznają w dzień i w nocy konwoje więźniów! Cóż to były za cierpienia...! Nie życzyłbym ich nawet swemu śmiertelnemu wrogowi!

– Panie Siergieju, czy pan stracił wszelką nadzieję na powrót do swego kraju, rozumie się, jako człowiek wolny? Czy pański rząd nigdy nie pozwoli panu tam powrócić...?

– Nie, jeśli car nie ogłosi amnestii stosującej się do hrabiego Narkina i do wszystkich patriotów wraz z nim skazanych. Czy zajdą jakieś polityczne wydarzenia, które uczynią takie postanowienie możliwym...? Któż to wie, kochany panie Cascabel!

– Jednakże życie na wygnaniu jest chyba bardzo smutne... To tak, jakby człowieka wypędzono z jego własnego domu!

– Tak...! Daleko od wszystkich, których się kocha! Tymczasem mój ojciec jest w bardzo podeszłym wieku... a ja tak chciałbym go znowu zobaczyć...

– Jeszcze go pan ujrzy, panie Siergieju! Niech pan uwierzy staremu jarmarcznemu sztukmistrzowi, który często przepowiada wydarzenia, wróżąc ludziom. Razem z nami wjedzie pan do Permu! Czy nie należy pan do zespołu Cascabela...? Wcześniej jednak muszę pana nauczyć kilku łatwych sztuczek. Może się to kiedyś przydać, nie mówiąc już o figlu, jaki spleatamy rosyjskiej policji, przechodząc jej przed nosem!

To powiedziawszy, Cesar Cascabel nie mógł się powstrzymać od wybuchu gromkiego śmiechu. Wyobraźcie sobie! Hrabia Narkin, wielki rosyjski arystokrata, podnoszący ciężary, żonglujący butelkami, odpo-

wiadający na żarty klaunów... i zbierający za to zapłatę!

Około trzeciej po południu „Prawdziwy Włóczęga” musiał się zatrzymać. Chociaż jeszcze nie zapadła noc, gęsta mgła znacznie ograniczyła pole widzenia. Jean, który cofnął się do pojazdu, radził dalej nie jechać, gdyż trzymanie w tych warunkach dobrego kierunku było bardzo wątpliwe.

Poza tym, jak to również przewidział pan Siergiej, w tej części cieśniny, z kanałem wyorany przez wschodni prąd, pole lodowe było nierówne z powodu sterczących pod śniegiem odłamów kry. Pojazd trząsał się niemiłosiernie i niekiedy przechylał. Konie potykały się prawie co krok. Wystarczyło zaledwie pół dnia, by były niezmiernie znużone i wyczerpane.

Krótko mówiąc, na pierwszym etapie mała karawana przebyła zaledwie jakieś dwie mile.

Kiedy zaprzęg się zatrzymał, Cornélia i Napoléone wysiadły z pojazdu, szczelnie otulone od stóp do głowy w ciepłą odzież, ponieważ nagle miały przejść z temperatury dziesięciu stopni powyżej zera panującej we wnętrzu do temperatury dziesięciu stopni poniżej zera na zewnątrz „Prawdziwego Włóczęgi”. Co do Kayette, przyzwyczajonej do surowej alaskiej zimy, to nawet nie pomyślała o okryciu się ciepłym futrem.

– Musisz ubrać się cieplej, Kayette – rzekł do niej Jean. – Narażasz się na przeziębienie.

– Och, nie boję się zimna! – odrzekła. – W dolinie Jukonu jesteśmy do niego przyzwyczajeni!

– To nie ma znaczenia, Kayette.

– Jean ma rację – rzekł pan Cascabel, wtrącając się do rozmowy. – Idź włożyć na siebie coś ciepłego, moja mała przepióreczko. Ostrzegam cię, że jeśli się zaziębisz, to ja będę tym, który podejmie się ciebie uzdrowić, a to będzie straszne...! W razie potrzeby jestem gotów nawet uciąć ci głowę, aby położyć kres kichaniu!

Wobec takiej groźby młodej Indiance nie pozostało nic innego, jak tylko usłuchać, co też natychmiast uczyniła.

Potem wszyscy zajęli się przygotowaniem obozowiska. Tym razem nie było z tym kłopotu. Nie trzeba było ścinać drzew w lesie, bo nie było lasu, ani rozniecać ogniska, gdyż nie było opału, ani zbierać trawy dla nakarmienia zwierząt. „Prawdziwy Włóczęga” stał w miejscu, oferując domownikom zwykle wygody, miłą temperaturę, gotowe do spoczynku posłania, nakryty stół i niezmienną gościnność.

Należało jedynie dać Vermouthowi i Gladiatorowi porcję paszy zabranej dla nich z Port Clarence. Kiedy to uczyniono, okryto oba konie grubymi derami, gdyż miały spokojnie odpoczywać aż do następnego dnia. Nie zapomniano też o papudze w klatce, o małpie leżącej w koszyku ani o obu łakomych psach, które rzuciły się żarłocznie na suszone mięso.



W końcu, zadbawszy o wszystkie zwierzęta, pan Sergiej i jego towarzysze zasiedli do kolacji, lub raczej do obiadu, gdyż było jeszcze dość wcześnie.

– Ho! ho! – zawołał Cascabel. – Chyba pierwszy raz się zdarza, że Francuzi spożywają dobry posiłek w środku Cieśniny Beringa!

– To jest prawdopodobne – odparł pan Sergiej. – Mam nadzieję, że za trzy lub cztery dni spotkamy się ponownie przy stole, tym razem już na stałym lądzie.

– W Nuyamo? – zapytała Cornélia.

– Nie, na wyspie Diomeda, gdzie się zatrzymamy na jeden lub dwa dni. Posuwamy się tak powoli, że dotarcie do wybrzeży Azji zajmie nam co najmniej tydzień.

Po skończonym posiłku, chociaż była dopiero piąta po południu, nikt nie był przeciwny udaniu się na spoczynek. Wyciągnięcie się na całą noc pod ciepłym okryciem, na porządnym posłaniu było rzeczą nie do pogardzenia po uciążliwym marszu po polu lodowym. Pan Cascabel nie uważał nawet za stosowne czuwać nad bezpieczeństwem obozu. Na tej swoistej pustyni nie trzeba było się obawiać przykrych spotkań z obcymi. Poza tym same psy stanowiły już dostateczną ochronę i z pewnością zapowiedziałyby zbliżanie się do „Prawdziwego Włóczęgi” jakichś przybyszów – jeżeli w ogóle tacy tu byli.

Mimo wszystko pan Sergiej wstał ze dwa lub trzy razy, by zbadać stan *ice fieldu*, który zawsze mógł się zmienić pod wpływem temperatury; tego Rosjanin obawiał się najbardziej ze wszystkich rzeczy. Jednak pogoda się nie zmieniała, tylko nad zamarznąłą powierzchnią cieśniny dmuchał wietrzyk z północnego wschodu.

Następnego dnia kontynuowali podróż w tych samych warunkach. Nie napotkali na żadne trudności, a mówiąc dokładniej, musieli się zmagać tylko ze zmęczeniem. Po pokonaniu trzech mil zatrzymali się na odpoczynek. Wydano takie same dyspozycje, jak to miało miejsce poprzedniego dnia.

Nazajutrz, to znaczy dwudziestego trzeciego października, nie można było wyruszyć przed dziewiątą rano, gdyż nawet o tej porze było jeszcze ciemno i mało co było widać.

Pan Sergiej zauważył, że mróz był mniej przejmujący. Na południowo-wschodnim horyzoncie zbierały się porozrzucane kłębiaste chmury. Rteć w termometrze wykazywała tendencję do obniżania się i dawało się odczuć słaby spadek ciśnienia atmosferycznego.

– Bardzo mi się to nie podoba, Jeanie! – powiedział pan Sergiej. – Jak długo będziemy przebywali na polu lodowym, nie powinniśmy się obawiać, że mróz się nasila. Na nieszczęście barometr opada, a wiatr zaczyna wiać od pełnego morza. Najbardziej jednak musimy się obawiać wzrostu temperatury. Jeanie, zwracaj pilną uwagę na stan *ice fieldu*, nie przeocz nawet najdrobniejszego znaku i w razie czego szybko wracaj do wozu, by nas o tym powiadomić!

– Panie Sergieju, może pan na mnie liczyć!

Oczywiście w następnym miesiącu, a potem aż do połowy kwietnia nie mogły zajść zmiany, jakich obawiał się pan Sergiej. W tych miesiącach zima byłaby już w pełni i stabilna. Ponieważ jednak w tym roku znacznie się opóźniła, to jej początek zaznaczał się okresami mrozu i odwilży, która mogła doprowadzić do częściowego rozluźnienia się pola lodowego. Tak, w czasie przeprawy przez cieśninę lepiej było wystawiać się na temperatury dochodzące do dwudziestu pięciu czy trzydziestu stopni poniżej zera!

Wobec zaistniałej sytuacji wyruszono więc w panującym półmroku. Słabiutkie promienie słońca, padające pod płaskim kątem, nie były w stanie przebić grubej i zwartej powłoki mgieł. Do tego całe niebo, aż po krańce horyzontu, zaciągnęło się potężnymi, nisko zawieszonymi chmurami, które wiatr dość szybko popychał ku północy.

Jean, idąc na czele, z uwagą przypatrywał się warstwie śniegu, która od poprzedniego dnia nieco zmiękła i każdy krok koni z zaprzęgu oraz ruch wozu zostawiały w niej wyraźne, wgniezione ślady. Mimo to podróżni zdołali pokonać odcinek liczący około dwóch mil, po czym zatrzymali się na nocleg, który minął spokojnie i bez żadnych wydarzeń.

Kolejnego dnia – dwudziestego czwartego października – wyruszyli w drogę o dziesiątej przed południem. Pan Sergiej bardzo się zaniepokoił, kiedy stwierdził, że temperatura nadal się podnosiła. Było to doprawdy zupełnie nienormalne zjawisko o tej porze roku i na takiej szerokości geograficznej.

Ponieważ nie było specjalnie zimno, Cornélia, Napoléone i Kayette także postanowiły iść piechotą i poruszały się dość żwawo w swoim eskimoskim obuwiu. Wszyscy chronili oczy za indiańskimi okularami i już prawie przyzwyczaili się do patrzenia przez wyciętą w nich wąską szczelinę. Widok ludzi w tych przyrządach ciągle budził wesołość Sandre'a, który nie zwracając uwagi na zmęczenie, skakał niczym rozbrykana kózka.

W takich warunkach pojazd nie posuwał się szybko. Koła głęboko wrzynały się w śnieg, co mocno utrudniało koniom ciągnięcie go. Gdy obręcze najeżdżały na nagłe wyniesienie lub ostrą krawędź lodowego bloku, dochodziło do gwałtownych wstrząsów i uderzeń, których nie dało się uniknąć. Czasami też drogę zagradzało skupisko nagromadzonych wielkich brył lodu i by je wyminąć, należało je objeżdżać szerokim łukiem. Mimo to należało się cieszyć, że na lodowej powierzchni natrafiano jedynie na wyrzuszenia terenu, co wydłużało trasę przejazdu, a nie na szczeliny czy pęknięcia skorupy. Dowodziło to, że nie została jeszcze naruszona trwałość *ice fieldu*.

Tymczasem temperatura ciągle się podnosiła, a jednocześnie spadało ciśnienie wskazywane przez barometr. Działo się to powoli, ale regularnie. Pan Siergiej był coraz bardziej niespokojny. Krótco przed południem kobiety musiały powrócić do pojazdu, bo zaczął padać śnieg w postaci małych, delikatnych, prawie przezroczystych płatków wyglądających tak, jakby za chwilę miały się roztopić. Można by mówić o ulewie lekkich białych piórek, które tysiące ptaków strząsnęły z siebie w przestrzeń.

Cesar Cascabel radził panu Siergiejowi, by schronił się do „Prawdziwego Włóczęgi”, ale ten odmówił. Czyż nie mógł znosić tych samych trudów co jego towarzysze? Bardzo też niepokoiły go obfite opady gęstego, mokrego śniegu, który topiąc się, mógłby spowodować poluznienie masy pola lodowego. Należało jak najszybciej znaleźć schronienie na stabilnej skalistej bazie wysepki Diomeda.

Ponieważ jednak roztropność nakazywała poruszać się z najdalej posuniętą ostrożnością, pan Siergiej postanowił dołączyć do Jeana, który badał teren, idąc sto kroków przed zaprzęgiem, podczas gdy pan Cascabel z Goździkiem szli przy koniach, które często się potykały i ślizgały. Gdyby z pojazdem stało się coś złego, nie byłoby żadnego innego wyjścia, jak tylko pozostawić go na środku zamrożonego morza... Byłaby to doprawdy niepowetowana strata.

Posuwając się mozolnie razem z Jeanem, pan Siergiej usiłował jednocześnie obserwować przez lornetkę horyzont po stronie zachodniej, w tej chwili przysłonięty tumanami wirującej zamieci. Widoczność była niezmiernie ograniczona. Poruszali się trochę na wycucie i pan Siergiej niewątpliwie dałby natychmiast sygnał do zatrzymania się, gdyby trwałość pola mogła ich narazić na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

– Za każdą cenę – powiedział – musimy starać się jeszcze dzisiaj dotrzeć do wysepki Diomeda, nawet gdybyśmy mieli poczekać na niej aż do ponownego nastania mrozów!

– Jak pan sądzi, jak daleko od niej teraz jesteśmy? – zapytał Jean.

– Mniej więcej półtorej mili, Jeanie. Skoro pozostają nam jeszcze ze dwie godziny dziennego światła, albo raczej owego półmroku, który pozwala ciągle utrzymywać prawidłowy kierunek, podwójmy wysiłki, by dotrzeć do niej, zanim zapadnie zupełna ciemność.

– Panie Siergieju, czy chciałby pan, bym poszedł przodem i rozpoznał położenie wysepki?

– Nie, Jeanie, nie! Istnieje wielkie ryzyko, że zabłądzisz w śnieżnej kurzawie i będziemy mieli nowy kłopot! Trzymajmy się kierunku wskazywanego przez kompas, bo gdybyśmy minęli wysepkę Diomeda, przechodząc na północ lub na południe od niej, to nie wiem, co by się z nami stało...

– Panie Siergieju, słyszał pan? – zawołał nagle Jean, pochylając się.

Pan Siergiej postąpił podobnie i skonstatował, że przez *ice field* przebiegły głucho trzaski przypominające dźwięk rozbijanego szkła. Czy były to oznaki częściowej dezintegracji, jeśli nie kompletnego pęknięcia lodów? Na razie jednak jak okiem sięgnąć na powierzchni nie pokazała się żadna szczelina ani nawet pęknięcie.

Położenie stawało się bardzo niebezpieczne. Spędzając w tych warunkach noc, podróżni mogli się stać ofiarami katastrofy. Wyspa Diomeda stanowiła dla nich jedyne bezpieczne schronienie i dlatego za wszelką cenę należało do niej dojechać. Jak pan Siergiej musiał żałować, że nie poczekał cierpliwie jeszcze kilka dodatkowych dni w Port Clarence!

Powrócił z Jeanem do pojazdu i zapoznał pana Cascabela z położeniem. Nie była to chwila, by przedstawić ewentualne konsekwencje obecnego stanu rzeczy kobietom, gdyż byłoby to niepotrzebne ich straszenie. Zdecydowano więc, że zostaną w wozie, gdy tymczasem mężczyźni zaczęli popychać koła, by dopomóc znużonym koniom, na poły ochwaconym, mocno się pocącym mimo porywistego, mroźnego wiatru.

Około drugiej śnieżna zawierucha znacznie zelżała i wkrótce wiatr przeganiał w powietrzu jedynie nieliczne płatki. Teraz już łatwiej było zachować prawidłowy kierunek marszu. Popędzano energicznie konie, pan Siergiej postanowił bowiem zatrzymać się dopiero wówczas, gdy „Prawdziwy Włóczęga” wjedzie na skały wysepki Diomeda.

Według jego obliczeń w tej chwili wysepka nie powinna leżeć dalej jak pół mili w kierunku zachodnim i popędzając konie, może wystarczyłaby godzina, by dotrzeć do jej brzegu.

Na nieszczęście niepewne światło dzienne coraz bardziej słabło, by w końcu stać się nikłym odbłaskiem. Byli czy też nie na dobrej drodze? Czy mieli się trzymać tego samego kierunku...? Jak to sprawdzić?

Właśnie wtedy głośno zaszczekały oba psy. Czyżby sygnalizowały zbliżanie się jakiegoś niebezpieczeństwa? Czy zwietrzyły gromadę Eskimosów lub Czukczów przechodzących przez cieśninę? Gdyby tak było, pan Siergiej nie zawahałby się wezwać tych tubylców na pomoc lub przynajmniej starałby się od nich dowiedzieć o dokładnym położeniu wysepki.

W tej samej chwili otworzyło się jedno z okienek w wozie i dał się słyszeć głos Cornélii, która pytała, dlaczego Wagram i Marengo tak szczekają.

Odpowiedzieli jej, że jeszcze nic nie wiedzą, lecz nie ma żadnego powodu do obaw.

– Czy mamy wysiąść? – zapytała pani Cascabel.

– Nie, Cornélio – odrzekł pan Cascabel. – Tobie i dziewczętom najlepiej będzie tam, gdzie jesteście. Zostańcie!

– Może psy zwęszyły jakiego zwierza, na przykład niedźwiedzia...?

– To dadzą nam znać! Zresztą możecie trzymać strzelby w pogotowiu. Przede wszystkim jednak zabraniam wam wychodzić!

– Pani Cascabel, niech pani zamknie okno – polecił pan Siergiej. – Nie mamy nawet minuty do stracenia! Natychmiast ruszamy w dalszą drogę!

Zaprzęg, który zatrzymano na pierwsze szczekanie psów, na nowo rozpoczął swój mozolny marsz.

Przez pół godziny „Prawdziwy Włóczęga” mógł się posuwać nieco szybciej, gdyż powierzchnia *ice fieldu* była mniej wyboista. Konie, ze spuszczoneymi łbami i drżącymi nogami, mimo prawdziwego zmęczenia nadal ciągnęły pojazd, ale wyczuwało się, że czyniły to resztkami sił i padłyby niewątpliwie, gdyby ich wysiłek trwał dłużej.

Już prawie zapadła noc. Wydawało się, że resztki światła rozproszonego w przestrzeni dochodziły raczej z powierzchni pola lodowego niż z jaśniejszych górnych stref.

Psy, które nie przestawały szczekać, wybiegały naprzód, podnosiły pyski do góry, stawiały ogony i wietrzyły, a następnie powracały ku zaprzęgowi!

– Bez wątpienia jest w tym coś nadzwyczajnego! – zauważył pan Cascabel.

– Otóż i wyspa Diomeda! – zawołał Jean.

To mówiąc, wskazał na skupisko skał, których zaokrąglone wierzchołki można było zaledwie dostrzec w odległości kilkuset kroków na zachód.

Dowodem na to, że Jean się nie pomylił, była barwa bezładnej masy pokrytej czarnymi plamami, odcinającymi się wyraźnie od bieli otaczających je lodów.

– Tak, to musi być wysepka – stwierdził pan Siergiej.

– Czy mi się wydaje, czy też te czarne punkty się poruszają?! – zawołał pan Cascabel.

– Poruszają się...?

– Ależ tak!

– Zatem musi to być parę tysięcy fok, które poszukały schronienia na tej wysepce...

– Parę tysięcy fok...? – powtórzył pan Cascabel.

– Och, szefie! – zawołał Goździk. – Cóż to byłoby za szczęście, gdybyśmy potrafili je wytresować i pokazywać na jarmarkach!

– I dodatkowo nauczyć je mówić: „papa”! – dorzucił Sandre.

Taki okrzyk mógł się wyrwać tylko prosto z serca młodego kuglarza!

